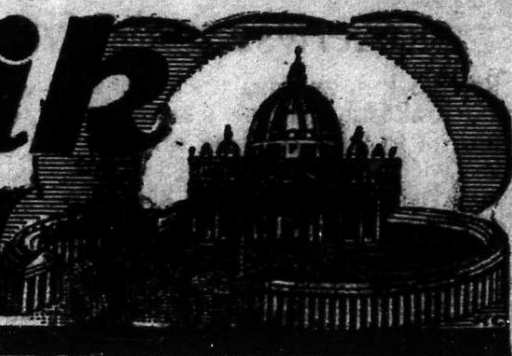


Tygodnik KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH



Rok V

Gorzów Wlkp., dnia 1 października 1950 r.

Nr 31

BĄDŹCIE DOSKONAŁYMI

Do wszystkich ludzi mówił Chrystus Pan te wzniosłe słowa: „Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Od wszystkich żądał doskonałości, by przykładem swoim pociągali innych ku dobremu i ku chwale Najwyższego. Jeśli od wszystkich żąda Bóg doskonałości, to chyba w pierwszym rzędzie żąda jej od rodziców, od tych, którzy stale winni przyświecać przykładem swego życia dzieciom, którą wychowują.

Wielka jest godność rodziców i wielkie ich dostojństwo. Ważne zadania mają do spełnienia. Ale też i wielki rachunek będzie przed Bogiem, który powierzył w ich ręce nie tylko taki skarb ale i dusze nieśmiertelne ich własnych dzieci. Od tego jak wypełnią swoje zadania wychowawcze zależy częstokroć nie całe dalsze życie dziecka, całe jego szczęście ziemskie. Co więcej. Od tego jak wychowuje rodzice dziecko swoje zależy częstokroć nie tylko kwestia powodzenia lub niepowodzenia ziemskiego, ale też i zbawienie duszy dziecka, jego wieczność, jego los po śmierci, jego szczęście z Bogiem lub odrzucenie wiekiście. Bo jakie nasienie rzucimy na rolę, taki owoc z niej wyrośnie. Jeśli siew będzie obfity i dobry, jeśli ziarno zdrowe, czyste i pełne, dobrego plonu można się spodziewać.

Jeśli uprawa niedbała i ziarno siewu liche — plon będzie mizerny. Co kto posieje, to zbierze. A kto siew mało, mało zbierze. Kto nie uprawi roli, chwasty mu wyrosną.

Dusza dziecka to rola rodzicielska, czekająca na uprawę i ziarno. Chłonie wszystko jak spragniona deszczu ziemia, bierze i przyjmuje wszystko, co rzucą w nią rodzice słowem, czynem, przykładem ich własnego życia. Rodzicielski siew zakorzeni się głęboko w duszy młodego człowieka. Tak głęboko, że aż do samego zgonu dziecka często te korzenie tkwią w jego duszy. Nie dziwne: „czym za młodu skorupka nastąpi, tym na starość traci”.

Idzie o to, by ta młoda skorupka duszy dziecięcej nastąpiła dobrem, czerpanym z domu rodzicielskiego. Aby wyniosła z domu nie chwasty, nie kłótle.

Kiedy człowiek rozważa ten problem odpowiedzialności rodziców za dziecko, aż lekko zbiera. O takie straszliwe ważne sprawy tu chodzi. Dziecko bezcenny klejnot w rękach rodziców, a przy tym tak słaby że lada chwila może być uszkodzonym.

O tak! Gdy takie wielkie zadania mają rodzice do spełnienia, sami muszą posiadać olbrzymie walory duchowe. Bo wiadomo z pustego nie należy. Wiadomo: dać można tylko to, co się samemu posiada. I jeśli chcą rodzice dać dziecku charakter, sami go mu — za posiadać. A im więcej chcą dać, więcej sami mieć muszą.

Przeto Chrystusowe wołanie o doskonałość w pierwszym rzędzie dotyczy ojca i matki. Tak. Doskonałymi bądźcie — rodzice — jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Doskonałymi bądźcie byście tą doskonałością przekazywali mogli potomstwu swojemu. Doskonałymi bądźcie, byście mogli dać dzieciom swoim wzór ku naśladowaniu. Doskonałymi bądźcie, by dzieci wasze, patrząc na was i stosując życie wasze w życiu własnym, coraz bardziej zbliżały do Boga i chwaliły swojego Pana na wieki.

Tak. Jeśli komu na ziemi doskonałość konieczna, to rodzicom. Więcej konieczna niż zakonnikowi, czy zakonnic, zamkniętej w murach klasztoru i spędzającej życie na modlitwach i pobożnych praktykach. Bo z ojca i matki żywy wzór życia dnia otwarte i myślenie oczy dziecięca. Bo z ojca i matki czerpie przykład potomstwo, sposobiasz się w życie, by potem wnieść w życie to, co zaczerpnęły z rodziców swoich i przekazać to dalszym pokoleniom.

„Doskonałymi bądźcie, jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Nakaz Boży i żądanie Boże wyraźne, nie zostawiające żadnych wątpliwości. Ojciec i matka, gdy chcą po Bożemu wypełnić swoje rodzicielskie zadanie muszą mieć choć odrobinę tej doskonałości której żąda i domaga się od nich Najwyższy.

Nie ludźmy się nie oszukujmy się. Plewą i nędzą życia nie wykupimy się.

Pozostaje tylko to, czego żąda Bóg: doskonałymi bądźcie.

Doskonałymi w myślach, doskonałymi w słowach, doskonałymi w czynach.

Patrzy się nieraz człowiek po tych, których obdarzył Bóg dobrodziejstwem rodzicielstwa i myśli o żądanej przez Boga od rodziców doskonałości.

Oby ich było jak najwięcej. Oby jak najwięcej ojcowskich i matczynych dusz pamiętało na Pańskie słowa:

— Doskonałymi bądźcie!

Z. Grzybowski.



Ofiarowanie Najśw. Panny

Pierwsza polska święta błogosławiona Bronisława

Rzadko kto, zwiedzający liczne za-
bytki Krakowa znajdzie jeszcze dość
czasu na to, aby zejść na przedmie-
ście Zwierzynieckie do kościoła św.
Augustyna i przylegającego klasztoru
Norbertanek. Za to z Wawelu, albo
z mostu Dębnickiego oglądać można
te wysokie, surowe, niemal warowne
mury wyrastające malowniczo z brze-
gu Wisły, a na tle wzgórza Salwator.
Kto zaś dotrze mimo trudu, do pię-
knej świątyni — nie pożałuje trudu
znajdnie się bowiem u grobu bardzo
cennego katolickiemu sercu, bo pierw-
szej polskiej świętej: bł. Bronisławy,
spoczywającej od chwili śmierci swo-
jej niezmiennie w tym samym ko-
ściele i pod opieką tych samych kano-
ników zakonu Premonstrantów — cz.
Norbertanek. A jeśli chce bliższych
szczegółów o życiu patronki —
niech pójdzie przez podwórze ko-
ścielne i zadzwoni do furty klasztornej.
Poza gęstą kratą zabeleje mu wów-
czas postać w habicie — jak z obra-
zka — jak Bronisława z przed 8 wie-
ków. Tak samo dotychczas noszą się
zakonnice: biała wełniana materia
ciężkimi fałdami spływa od ramiona
a czarny welon przykrywa głowę.
Ma on symboliczne znaczenie: nie-
wiasta, która się Bogu poświęciła —
umarła dla świata. Nie myśl, że cię
wpuszcza do klasztoru, pokażą ogród
albo wirydarze — zapewne piękne
i stylowe! Jak przed 8 wiekami, obo-
wiązuje tu surowa klauzura. Norber-
tanki mają regułę ostrą, zabraniającą
im nawet w rozmównicy — inaczej
jak poprzez czarne kraty — z najbli-
ższymi krewnymi porozumiewać się.
Niemniej są również zakonem czyn-
nym. Prowadziły do niedawna szkołę
i internat dla dziewcząt, a w tej chwili
mają u siebie przed furką wzorowe
przedszkole.

Zakonnica uprzejmie uśmiecha się
do ciebie — jak z obrazka — i po-
daje ci przez kratę książeczkę o ży-
wocie bł. Bronisławy i tam czytasz:

W zacnym i potężnym rodzie Odro-
wążów na Śląsku Opolskim we wsi
Kamień w r. 1203 urodziła się Broni-
sława, która od samego dzieciństwa —
zachęcona przykładem świętych kre-

wnych swoich: Jacka i Czesława —
ćwiczyła się w cnotach pobożności
i miłosierdzia. Gdy za pierwszą byt-
nością swoją w Krakowie odwiedziła
z rodzicami klasztor Norbertanek na
Zwierzyni, przy drodze Śląskiej —
zaprzęgnęła zostać z nim na zawsze.
Był to wówczas jedyny w ziemi Kra-
kowskiej klasztor żeński — ufundow-
wany przez Jaxę Miedhowitę 1164 r.

Rodzice jednak postanowili wypróbo-
wać jej powołanie i choć tak mło-
dziutką była, kazali jej udzielać się
towarzystwo na swym dużym i goś-
cinym dworze. Powołanie jednak
było prawdziwe i głębokie, toteż ro-
dzice dalszych trudności nie stawiali
i w 16-tym roku życia Bronisława
uroczyście zrzuciła w kościele św.
Augustyna kosztowne szaty świeckie
aby przywdziać habit zakonny.

Klasztor był wówczas w kwitnącym
stanie i gromadził około 150 niewiast
gorliwych w służbie bożej, ale na czoło
cnot uprawianych wysunęły się w krót-
ce żarliwa pobożność i duch ołtary
młodej Odrowążówny. W młodym
też wieku księżną wybrana została.
Nie zawsze jednak spokojnie i cicho
mogły zakonnice przy swym kościele
chwalić Boga. Przyszedłszy dnie próby
i ciężkiego wygnania, a działo się to
kilkakrotnie: w czasie zamieszek kra-
jowych po śmierci Leszka Białego
w r. 1227, kiedy to tułały się w lesie
opodal i chroniły w skałach, od tej
pory Panieńskimi zwane, i za czasów
gorszego jeszcze najazdu Tatarów
w r. 1241. A gdy klasztor po spale-
niu go przez hordy najeźdźców odbu-
dował się i nowym blaskiem święto-
bliwości zajaśniał raz jeszcze w r. 1259
zakonnice z niego uchodzić musiały
przed powtórną tatarską groźbą. Wio-
dła ich znowu na wygnanie z krzy-
żem w rękę mężna i nieustraszona
Bronisława. Tym razem jednak wró-
cić już żywą nie miała. Opodal, w Si-
korniku, na skalistym wzgórzu gęstym
lasem pokrytym, w zachwyceniu, oto-
czona gronem swych córek duchow-
nych — które jej tylko mchem okryty
kamień za łożę uścielić mogły —
umarła 29 sierpnia.

Po powrocie do klasztoru zakonnice
umieścili ciało swej księni we wnęce
muru za głównym ołtarzem i zamu-
rować zakazły, aby uchronić szczątki
przed znieważeniem w razie wrogich
napadów. Tymczasem kult zmarłej
s z e r z y ł się. Notowano liczne
łaski za jej wstawiennictwem otrzy-
mane. Pielgrzymki jej czcicieli cią-
nęły nie tylko do kościoła św. Au-
gustyna, ale i na Sikorniki miejsca
jej śmierci, gdzie opodal biło źródło
ko jej imieniem nazwane. Miejsce
jednak ukrycia zwłok z biegiem lat —
poszło w niepamięć i dopiero za cza-
sów rządów energicznej i pobożnej
księni Doroty Kąckiej, która znowu
przywróciła kwitnący stan duchowny
zgrupowaniu i kazała odnowić grun-
townie kościół — przy jego rozbud-
owie — odkryto w r. 1604 wmurowa-
ną trumnę ze zwłokami Bronisławy.

Przełożono je wówczas do nowej
trumny i zamurowano w innym miej-
scu, również za ołtarzem, aby pow-
tórnie o nim po pewnym czasie za-
pomnąć. I znowu za rządów księni
tym razem Magdaleny Otińowskiej,
w r. 1782 przy reperacji kościoła od-
słonił się niespodziewanie skarb ukry-
ty. Tym razem uroczyste i komisyj-
nie przełożono święte kości do cy-
nowej trumienki i w tymże samym
miejscu za ołtarzem św. Anny w mu-
rowano — uwidaczniając je jednak
tablicą pamiątkową. Dopiero po be-
atyfikacji Bronisławy, ogłoszonej de-
kretem papieża Grzegorza XVI 3. VIII
1839 na skutek starań ks. Pawłow-
skiego i biskupa Karola Skorkowskie-
go — księni Ewa Stobiecka — kazała
sporządzić piękne relikwiarze: tru-
mienkę na kości i puszkę na głowę.

Wówczas to ukryte przed ludzkim
okiem skromnie za ołtarzem — święte
szczątki — bardzo uroczyste i wo-
bec niezliczonych tłumów z całego
kraju zostały wyniesione na ołtarzu
ku większej czci św. patronki i na
chwałę Bogu, któremu całym swym
życiem służyła. A stało się to w 6
wieków po jej śmierci, bo przez 6
wieków trwała o niej pamięć wdzię-
czna i kult w sercach. A. Ł.

Loteria na odbudowę zniszczonych kościołów warszawskich

W akcji zbierania funduszy na odbudowę
zniszczonych kościołów warszawskich Rada
Prymasowska Odbudowy Kościołów Warszawy,
jak i w ubiegłym roku, przystąpiła obecnie
do zorganizowania trzeciej skolei Wielkiej
Loterii Fantowej.

Dowiedujemy się, że tegoroczna Loteria
Fantowa Rady Prymasowskiej O. K. W. została
zorganizowana w ten sposób, iż powiększona
jest częstotliwość wygranych, przez zwięk-
szoną ilość wygranych. Do wygrania będą
obecnie 3 samochody osobowe, znacznie

większa ilość motocykli, maszyny do pisania,
radioodbiorniki, rowery, kupony odzieżowe,
bielizna, praczelnia i inne.

Z uznaniem podnieść należy sprawną or-
ganizację Loterii Fantowej. Już sam fakt, że
na każde dziesięć losów rozprawdzonych
w jednej parafii, na które nie padłaby żadna
wygrana, wyznaczone zostały t. zw. fanty
poieszenia, co świadczy wymownie o dobrze
pomyślanej akcji loteryjnej. Wogóle zaś cała
organizacja Loterii Fantowej jest postawiona
na najwyższym poziomie i zasługuje na po-

chwale i uznanie. A ponieważ cele Loterii
Fantowej są piękne i wzniosłe — odbudowa
zniszczonych świątyń Warszawy — spodzie-
wać się należy, że i tym razem Loteria Rady
Prymasowskiej O. K. W. spotka się z pow-
szecznym uznaniem i poparciem.

Losy w cenie zł 250,— nabywać można w
Biurze Rady Prymasowskiej Odbudowy Ko-
ściołów Warszawy (Warszawa, ul. Nowo-
grodzka 49), we wszystkich parafiach w całym
kraju oraz w kolekturach większych
miast.

EWANGELIA

na 17 niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego
św. Mateusz (22, 34—46).

W on czas: Przysąpili do Jezusa faryzeusze, a jeden z nich, uczony w zakonie, chcąc Go wybać zapytał Go: „Mistrzu, które jest największe przykazanie w zakonie?” Jezus mu rzekł: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli swojej” (V Mojż. 6,5). To jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre, równe jemu: „Będziesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego” (III Mojż. 19, 18). Na tych dwóch przykazaniach zasadza się cały zakon i prorocy.

A gdy faryzeusze się zebrali, zapytał ich Jezus, mówiąc: „Co sądzicie o Chrystusie? Czym jest synem?” — Mówią Mu: „Dawida”. Rzekł im: „Jakżeż więc Dawid mocą Ducha nazywa Go Panem mówiąc (Ps. 109, 1):

Rzekł Pan do Pana mego:
Siądź po prawicy Mojej;
aż położę Twych wrogów
podnóżkiem stóp Twoich?

Jesli więc Dawid nazywa Go Panem, to jakże może być synem jego? Lecz nikt nie mógł nic odpowiedzieć; nikt też od owego dnia nie mógł Go więcej pytać.

Na 18 niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego
św. Mateusz (9)



„Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy twoje”

Onego czasu: Wstąpiwszy Jezus w łódkę, przewiózł się i przyszedł do miasta swego. A oto przynieśli mu powietrzem ruszonego, leżącego na łożu. A widząc Jezus wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy twoje. A oto niektórzy z doktorów mówili sami w sobie: Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Czemu myślicie złe w sercach waszych? Cóż jest łatwiej rzec: Odpuszczają ci się grzechy twoje; czyli rzec: Wstań, a chodź? A iżbyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: Wstań, weźmij łożo twe, a idź do domu twego. I wstał i poszedł do domu swego. A ujrawszy to rzesze, ulęknęły się i pochwały Boga, który dał taką moc ludziom.

Kazimierz Gołba

ŚWIĘTOŚĆ BEZDOMNA

Paryż jest miastem przeciwieństw i kontrastów. Spotyka się w nim tyle bogactwa i przepychu, co ubóstwa i skrajnej nędzy, tyle uwodzącego piękna, co niezwalczonej szpetoty, tyle też cichej świętości, co jaskrawie pałającego się grzechu.

Cudzoziemiec, który po raz pierwszy zwiedza stolicę Francji, nie dostrzeżga zwykle tych kontrastów. Oszołomiony pięknem zabytkowych budowli, przepychem pałaców i sklepowych wystaw, nie widzi czającej się w ich cieniu nędzy, nie zagląda do krętych, brudnych zaułków, brukowanych kocimi łbami, ani pod mosty nad Sekwaną, ani na stacje kolei podziemnej w godzinach późnej nocy, gdy ruch pociągów zamiera. Wszyscy też patrzą na Paryż, jak na nowożytny Babilon, w którym bezwstyd stał się rzeczą zwykłą i codzienną, nie srytą — pod maskę obłudnych pozorów, a nie zauważają, że na tym grzędzie „isku moralnym” wyrastają kwiaty przedziwne, dusze brudem życia nietknięte, których nawet skrajna nędza nie zdoła pchnąć do zbrodni.

Do takich właśnie należał Marcel Pichon, robotnik sezonowy, syn wsi bretońskiej, rzucony przez wojnę w odmęt olbrzymiego miasta. Rodzina jego została wystrzelana przez Niemców za ukrywanie brytyjskiego lotnika, który skoczył z płonącej maszyny. Gospodarstwo Pichona spalono i zrównano z ziemią. On sam ocalał jedynie dzięki temu, że go wzięto przymusowo do robót przy budowie Wału Atlantyckiego. Gdy wrócił do swej wsi, stanął na zgłiszczach wszystkiego, co dotąd było treścią jego życia. Miał już 65 lat, był za stary, by je zaczynać na nowo. A zresztą — dla kogo?

Grunt swój podarował parafii na wyposażenie domu dla sierót, a sam z wiosną 1945 r. udał się do Paryża, by utopić ból w wielomilionowym obcym zbiorowisku ludzkim, gdzie nikt go już nie odnajdzie i nikt mu stron jego nie przypomni.

Trudno było staremu wieśniakowi znaleźć punkt oparcia w olbrzymiej metropolii. Do pracy w fabryce nie nadawał się, do dźwigania ciężarów również. Nie umiał też być żebrakiem.

Zrazu próbował Pichon żywić się odpadkami z wielkich hal targowych. Ale w okresie wojennym, nawet po wyparci Niemców, o żywność było trudno, o odpadki jeszcze trudniej, zwłaszcza że cała rzesza nędzarzy staczała o nie walki. Pobity raz do

krwi, znalazł się na komisariacie policji, gdzie spędził noc wśród najgorszych inetów, sprowadzonych na przesłuchanie. Spotkał się tam z włóczęgą, który znany był całej policji paryskiej z tego, że będąc bezdomnym, każdą noc spędzał w innym komisariacie.

Włóczęga ów zwał się Pierre (Piotr) Brissac i był w nieokreślonym wieku. Co robił w ciągu dnia, nikt nie wiedział. Co wieczór natomiast popełniał jakieś wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu, za które bywał zatrzymywany. Miał w tym zresztą wprawę zawodowca. Z przedziwnym artyzmem umiał prowokować zaistnia z policją, by zapewnić sobie nocleg pod dachem i garnuszek ciepłej lury na pierwsze śniadanie.

Pierre Brissac wyczuł w bretońskim chłopie nowicjusza na paryskim biuku. Nabral do niego zaufania i w rozizwieniu pijackim zaproponował Pichonowi braterską spółkę.

— Mnie tu już każdy kapuś zna — tłumaczył mu, leżąc na policyjnej ławie — a ciebie, bracie, nikt. Zrobimy teraz tak, że ty będziesz z nimi zaczynał, a ja się do ciebie przyłączę.

Ale uczciwa natura chłopca nie dała się nakłonić do takiego procederu.

— Ja jestem człowiek boży — do wodził Pichon Brissacowi — i pragnę tylko pracy. Z policją na kant iść nie umiem i chcę być od niej z daleka.

Gdy ich wypuszczono nazajutrz, klócili się na ten temat zawzięcie. Ale już rozstać się nie mogli. Brissac za prosił Pichona na „bistro”, naprzeciw ogrodu luksemburskiego, gdzie zapili przyjaźń jedną szklanką „aperitif”,

Gdy stamtąd wyszli, mieli jaśniejsze spojrzenie na świat. Ogród luksemburski zaśmiał się do nich pierwszą soczystą zielenią. Pichonowi aż zawróciło się w głowie.

— Bracie! — chwycił za rękę Brissaca — Tu jest dla mnie praca: porządki wiosenne w ogrodzie! Ty tu znasz każdy kamień. Pokaż, gdzie iść, żeby mnie przyjęli!

Brissac uznał wprawdzie, że Pichon sam nie ma wszystkich zmysłów w porządku, ale nie odmówił. Zaprowadził go, gdzie trzeba, i Pichon otrzymał pracę. Pomagać miał naczelnemu ogrodnikowi w pielęgnowaniu trawników i kłombów, stryżeniu szpalerów i gracowaniu ścieżek. Biedna była to ziemia w centrum kamiennego potwora, deptana co dzień tysiącami nóg, ale zawsze ziemia, którą kochał i bez której nie umiał żyć.

Brissac przyszedł się czas jakiś z ironią niepojętej pracowitości nowego przyjaciela, a potem zniknął. Wieczorem jednak zjawiał się znowu, by skłonić wreszcie upartego chłopca do szukania wspólnego noclegu na komisariacie.

Pichon jednak odmówił stanowczo. Włóczęga wpadł w gniew i sklął go najgorszymi wyrazami, jakie zna zagon bulwarów, lecz mimo to po raz pierwszy od dłuższego czasu — zrezygnował z policyjnej „opieki”. Na nocleg udał się pod most austerlicki (Pont d'Austerlitz). Ale tam kwatrowała już grupa starych „lokatorów”, którzy przyjęli ich wrogo, okupując najbardziej przytulny kąt pod murem. Musieliby zostać na miejscu zupełnie odsłoniętym na podmuchy wiatru, napędzającego przełotne, lecz roszące deszczem chmury. Prócz tego czarna toń leniwie płynącej rzeki, w której przeglądał się łańcuch nadbrzeżnych lamp, do świetlnego różańca podobny — tchnęła wilgotnym chłodem, który przenikał do kości.

— Ja tu nie zostanę! — zbuntował się Brissac. — Sekwana to grób! Nie ma nocy, by ktoś do niej z któregoś mostu nie skoczył. Mnie jeszcze życie mile! Wolę przespać się na stacji „metro”. Tam cieplej i nie wieje. I nie ma tej obrzydłej wody, której dno brukuje samobójcy.

— Chodźmy do „metro”! — zgodził się Pichon. — Dobrze, bracie Pierre, że ci jeszcze chęć do życia została. Znaczący to, żeś nie całkiem jeszcze stracony u Boga.

— Co mi o Bogu bajesz? — obruszył się włóczęga. — Od trzydziestu lat nie zajrzałem do kościoła.

— A nie próbowałeś tam nocować?

— Nie. Uciekam od świętości. Włóczęga modlących się ludzi przypomina mi, ile na mnie jest brudu.

— To znaczy, bracie, żeś uszanował kościół. Gdy zbiedzisz się brudu, jeszcze do Boga powrócisz.

Brissac wzruszył tylko ramionami, jakby rzekł: „Szkoda z takim gadać”. W milczeniu doszli na plac Bastylli, gdzie w pośrodku strzelała w czarne niebo potężna kolumna Wolności. Plac ten jest ważnym węzłem nadziemnej i podziemnej komunikacji Paryża. Trzy linie „metro” krzyżują się tu w trzech poziomach pod wodą. Górne perony stacji węzłowej wycierają na zewnątrz przez otoczony balustradą, podłużny wykrój w terenie, przez który napływa do tunelu powietrze.

Brissac i Pichon przystanęli przy balustradzie. Z jasno oświetlonej czołuski buchnęło na nich duszne cie-

pło. Dwa pięcio-wagonowe pociągi elektryczne mijaly się w tej chwili pod ich nogami. Na oba perony napływali wciąż nowi pasażerowie, choć nasilenie ruchu widocznie już słabło.

— Sacre! — zaklął Brissac. — Tu by nam było dobrze i ciepło, ale trzeba czekać do pierwszej, aż zamkna stację.

— A którądy wejdziemy? — za-
pytał Pichon.

— Tędy wprost!

— Skoczyć na szyny? Za wysoko bracie!

— Niebardzoś przemyślany, Marcellu! Tu trzeba spuścić się na linie przywiązanej do balustrady.

— A masz linę?

— Po co? O pierwszej będzie ich kilka. Nie my tu jedni czekamy na bezpłatny hotel.

— A policja pozwala?

— Policja zamyka oczy, bo wie, że nam rząd innych wygod nie dała. Na komisariacie już bym teraz chrapał w najlepsze. Widzisz, chłopie bretoński, do czegoś mnie przywiódł.

Obaj ziewali i byli senni, choć jeszcze nie było północy. Do pierwszej brakowało im półtorej godziny, z którą nie wiedzieli, co robić. Z taką powierzchnością, jaką rosiadali teraz, nie wpuszczono by ich do żadnego lokalu. Żeby nie stać w rucho-
liwym miejscu, przeszli się nie co ulicą św. Antoniego (Rue St. Antoine). U pierwszej przecznicy natknęli na kościół św. Pawła. Ku wielkiemu zdumieniu Pichona świątynia była oświetlona i otwarta.

— Co to? jakieś nocne nabożeństwo? — pytał chłop, nieświadom paryskich obyczajów kościelnych.

— Czy ja wiem? — mruknął włóczęga niechętnie. — Tutaj często modlą się w nocy.

— Chodźmy, bracie! Kościół jest dla wszystkich.

Brissac chciał się sprzeciwić, ale gwałtowne ziewnięcie udaremniło mu natychmiastową odpowiedź. Pichon tymczasem wciągnął go do wnętrza.

Ogarnęła ich jasność elektrycznych lampek i świec, rozpylona w powietrzu woń kadzideł i cisza dziwna, tak niewiarygodna po zgiełku paryskiej ulicy. W kościele nie było żadnego nabożeństwa, lecz odbywała się całonocna adoracja Najśw. Sakramentu.

Przed wielkim ołtarzem ujrzeni na klęcznikach dwudziestu może czarno ubranych mężczyzn, nieruchomych, zatopionych całkowicie w modlitwie. Jedni mieli przed sobą książeczki, a

nawet książki większego formatu, drudzy wpatrzni byli w świętą Hostię, jaśniejącą w złotych promieniach monstrancji, i jakby zastęgli w nadziemskiej ekstazie. Różni byli o ludzie i różnego wieku. Pichon, przejęty świętością miejsca i chwili, pełen prostaczęj wiary, jaką wyniósł z wsi bretońskiej, nie przyglądał im się bliżej, lecz wprawne oko paryskiego włóczęgi rozpoznało zaraz, który z nich był robotnikiem, a który lekarzem, adwokatem czy kupcem.

Punktualnie o północy nadeszła nowa grupa, by zmienić pograżonych w adoracji. Zdumiewająca była punktualność tych ludzi, którzy przybyli z różnych stron dzielnicy, każdy osobno, a jednak spotkali się u wrót kościelnych, by wchodzeniem pojedynczo nie zakłócać powagi świątyni.

Brissaca zdziwiła jeszcze wyłączność samych mężczyzn. Jedyna kobieta, którą zastali pod chórem, wstała tam tylko przygodnie i pomodliwszy się krótko, zaraz wyszła. Wszystkie te spostrzeżenia musiały zastanowić głęboko żyjącego bez Boga włóczęgę.

Pichon, znalazłszy się przed wielkim ołtarzem, ukląkł wprost na posadzce i zapomniał o całym świecie.

Dla tego nieszczęśliwca, który stracił wszystkich najbliższych, Bóg został jedyną ostoją i jedynym sensem życia. Ten stary chłop z Bretanii czuł wielkie pragnienie Boga i znalazłszy się teraz w kościele, doznawał błogiego ukojenia. Serce jego wzbierało łaską bożą. Zdawało mu się, że kłęcząc w obliczu wielkiego Gospodarza świata, któremu jako wierny sługa winien zdać sprawę z przepracowanego dnia.

Długo to trwało, bo musiał się jak przed Ojcem wypowiadać z własnych trosk, a także polecić Mu duszę swego przyjaciela, żeby się nad nim ulitował Pan jako nad marnotrawnym synem.

A kiedy wreszcie zrzucił z siebie brzemień i wielki spokój wstąpił w jego serce, obejrzał się za Brissac'iem.

Z wzruszeniem ogromnym ujrzał, że ten włóczęga, który tak niedawno odżegnywał się od Boga, kłęcz obok i ustami, nawykłymi do przekleństw, szuka zapomnianych słów swojej dziecięcej modlitwy, a po jego brudnym, nieogolonym policzku stacza się duża łza...

W chwilę później wracali obaj w braterskim uścisku w kierunku placu Bastylli — na nocleg w tunelu paryskiej kolei podziemnej.

W A R S Z A W A

Sierpień i Wrzesień... Dwa najstraszniejsze miesiące w dziejach Warszawy. Od krwawego września upłynęło już lat jedenaście, a jeszcze dziś słyszymy ludzkie szepoty, szepty, w których drgała słaba, nieuchwytna nuta nadziei: „Warszawa walczy, Warszawa się broni”.

Barykady spiętrzone w gardzielach ulic, zielone polowe mundury w żałobach murów, rude, leniwe dymy wybuchających pożarów na nieskalanym błękitnie gorącego, wrzesniowego nieba... Warszawa walczy.

Nie uratował Cię wtedy, stolico, płomień bohaterstwa ani ciche, nieefektywne męstwo utrudzonych żołnierzy. Tak trudno było walczyć zapałem i nadzieją przeciw bezkarnie zasypującej Cię deszczem stali artylerii wroga, przeciw groźnej, śmiercionośnej flocie powietrznej. Klęska twoja była i naszą klęską, a ośpiska gruzów na Twych ulicach stały się symbolem naszego życia przeoranego do głębi twardym pługiem wojny. A potem ciężkie lata dławiącej okupacji... I znów poszedł po kraju szepcący nadzieję: „Warszawa walczy, Warszawa się nie da”. Nie dałaś się. Przyczajona w podziemiach, dysząca żądzą odwetu stałaś się znów naszą stolicą, stolicą walki i oporu. Znów wysyłałaś swoich młodzieńskich żołnierzy w bój, który miał płonąć aż po ostatnie, dramatyczne dni dogasającego powstania.

Butna i nieugięta, iskrząca się świętym humorem, na przekór zaciemnieniom, łapankom i egzekucjom, na przekór perfidnym metodom dławiącym Twą moralną niezależność, kwitłaś własnym, cudownym życiem, życiem jak najbardziej polskim. Byłaś natchnieniem i źródłem siły całej walczącej Polski.

Powstanie... Bezmiar bohaterstwa żołnierza i bezmiar politycznego ogłupienia rozkazodawców. Heroizm w skali niespotykanej dotychczas w naszej historii. Byłaś wielką, stolicą, w swej beznadziejnej, z góry skazanej na niepowodzenie walce, wielką w płomiennym zrywie wolnościowym, który był czynem samobójczym. Osuwały się w gruzy Twe monumentalne pałace, zabytkowe tchnące niewysłowionym czarem minionych stuleci kościoły i pełne fascynującego uroku kamieniczki Starego Miasta. Wpo-

przek Placu Zamkowego legł zdruzgotany Zygmunt — Twoja chluba, Twój symbol. W trzasku walących się domów Starówki i Śródmieścia, w huku bestialsko wyszczynionej w powietrze katedry św. Jana, konała waleczną śmiercią żołnierza.

Te słowa są wzniosłe, patetyczne. Te słowa nie oddają treści tragicznych dni zagłady. Trzeba by słów tak prostych, jak prosy był uśmiech młodej łączniczki wychylającej się z otworu kanału z meldunkiem w rękę, aby oddać patos tamtych dni i heroizm dzieci warszawski. Trzeba by słów prostych, bo wielki heroizm graniczy zawsze z prostotą.

Dziś, gdy od krwawego sierpnia dzieli nas sześć, a od września lat jedenaście, chylimy czoła przed Twoim bohaterstwem, Stolico! Chylimy czoła i okiem pełnym zdumienia przyglądamy się Tobie. Jakże jesteś inna i jakże ta sama! Ta sama przeźna młodzieńczość i uśmiech kraszą Twoje oblicze, ten sam warszawski humor buszuje jak młody ogień wśród różowych domów Nowego Świata, na ruchliwej Marszałkowskiej i dostojnym monumentalnym Przedmieściu. Nie znać u Ciebie przygnębienia, smutku wyczerpania, cała zwrócona w przyszłość, pędzisz ku niej wstęgą W-Z, kilometrami nowych linii tramwajowych, wystrzelasz w górę piętrami jasných nowoczesnych gmachów i wieżycami dźwigających się z ruin kościołów prosto w błękit nieba, po którym już nigdy nie przemknie cień skrzydła ze swastyka. Moc-

no przywarta do Wisły, spiełając klamrami mostów oba jej brzegi, dwie połacie naszego kraju złączyłś zwiewnym gestem nowoczesnej architektury. Dumna ze swoich odbudowanych ulic i domów, pachniesz świeżością i siłą, uśmiechasz się do pochłapanych wapnem murarzy, którzy na Starym Rynku pieczołowicie przywracają Ci dawne, dobrze nam znane oblicze.

Rośniesz i piękniejesz, kochana przez swoich, podziwiana przez obcych, Ty, jedyne miasto na ziemi, które zepchnięte w otchłań piekła zniszczeń i śmierci, zdruzgotane podkutym żołdackim butem, potrafiło odżyć, odetchnąć pełną pierśią i całym swym półmilionowym jestestwem cieszyć się życiem! Chylimy przed Tobą czoła, Warszavo! I patrząc jak w aksamitny leśny wieczór wzdłuż tętniącej ruchem Trasy W-Z i na Mariensztacie złociste płoną lampy, jak krzyż w rękę Zygmunta lekko rysuje się na tle gwiazdnego nieba, a zwarty masyw kościoła św. Anny coraz głębiej cofa się w ciemność, wierzymy że będziesz o wiele piękniejsza niż dawniej, o wiele bardziej godna miana stolicy tej Polski, której jesteś najpełniejszym symbolem, tej Polski, która mimo klęsk i gruzów umie wygrzebać z pod ruin załazki życia, umie mozolnie odudowywać swój stan posiadania i trwać, trwać wiecznie młoda i żywotna, na ruchliwej wstędze historii tak jak Ty Warszavo! Tadeusz Haluch.



☛ Kolumna Zygmunta na tle ruin zamku i odbudowującej się katedry



Kościół św. Aleksandra w Warszawie
(przed wojną)



Katedra w odbudowie

WARSZAWA W NOWEJ SZACIE

Przed wojną byłem w Warszawie tylko raz i to krótko. Ogluszony olbrzymim ruchem Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, oślepiiony krzykliwymi neonami, które układały się w najróżniejsze reklamy, napisy nazwy hoteli, barów, kin i wielkich magazynów sklepowych, nie wiele mogłem zobaczyć.

Warszawa była naszym jedynym milionowym miastem, naszym reprezentacyjnym salonem, przyoblekającym się cierpliwie w szaty godne wielkiej stolicy europejskiej. Rozwój jej, hamowany z celową perfidią przez rząd carski, nabrał w okresie międzywojennym dużej, szkoda tylko, że nieujętej w ramy racjonalnie zakreślonych planów, żywiołowości. Przybyśza z prowincji, a zwłaszcza, z głuchej prowincji, uderzał w Warszawie przede wszystkim ruch. Ruch pieszny, samochodowy, tramwajowy i każdy inny. A teraz?

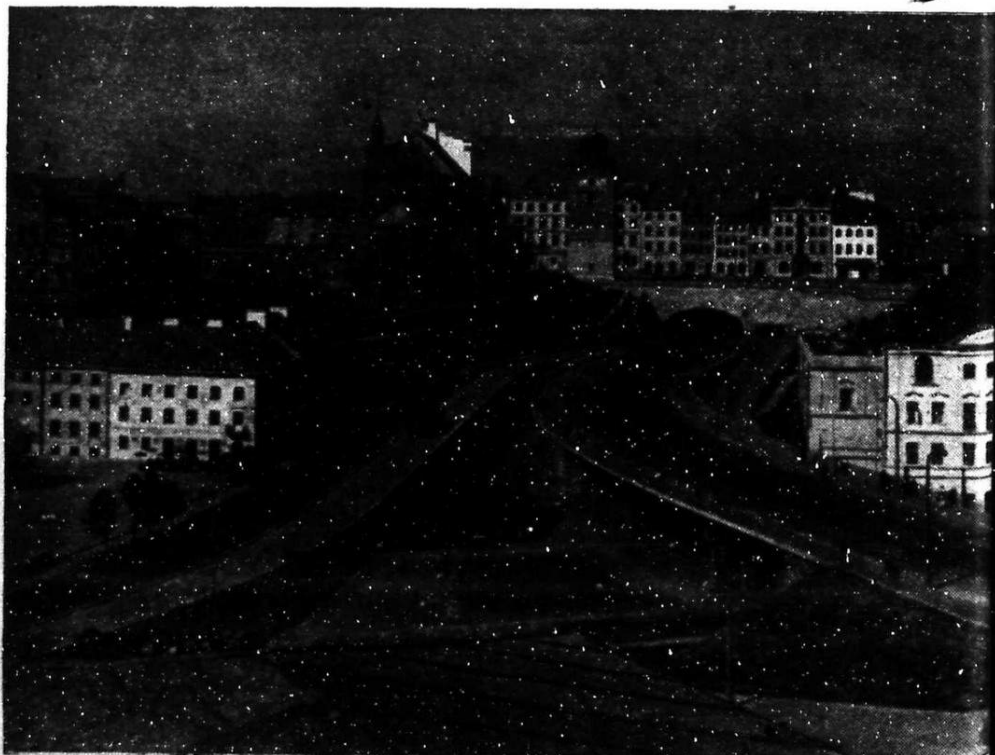
Teraz nie zmieniło się wiele pod tym względem mimo września 39 r. sierpnia i września 44 roku i kto, wybierając się do Warszawy, przypuszcza, że ujrzy trochę większy tylko bardziej zniszczony Poznań lub Kraków, ten się grubo omyli. Warszawa kipi ruchem. W siedzibie centralnych władz państwowych, w ośrodku, gdzie krzyżują się tysiączne interesy od rana do nocy. Jeszcze nigdzie nie widziałem tak przepełnionych tramwaj i autobusów, jak w Warszawie. Ten ruch i żywiołowe tempo napawają radością i dumą, chociaż przepelnione autobusy nie są bynajmniej miejscem, gdzie by można doznawać takich krzepiących uczuć. No ale trudno! Wiadomo stolica! Tłum w Warszawie jest inny niż w takich miastach jak Poznań czy Wrocław. Rozbiegany, w wiecznym pośpiechu przewala się ulicami intensywnie odbudowującej się stolicy.

Rozmawiałem już z wielu ludźmi, którzy powracali z Warszawy. Wszyscy stwierdzali zgodnie że doznali najmilszego rozczarowania zwiedzając stolicę. To już nie jest miasto śmierci, miasto ruin, system wymartych, zawalonych gruzami ulic, z których wieje pustka i groza. To wielka stolica, miasto teraźniejszości i przyszłości z wyrazistą plastyką rysującej się przed zdumionymi oczyma widząc na każdym kroku. Jeszcze gdzieś na ulicy tablica wmurowana w ścianę przypomina, że w tym miejscu lała się krew rozstrzeliwanych bohaterów, jeszcze ruiny Starego Miasta budzą smutne refleksje. Ale to na-

leży już do zmięchłej, chociaż głęboko tkwiącej w sercu historii. Cała Warszawa zwrócona jest w stronę przyszłości, która rąbek po rąbku odsłania tajemnicę przyszłego oblicza miasta. To oblicze pasjonuje mieszkańców stolicy. Jak będzie wyglądał za miesiąc tamten budujący się gmach jak się zareprezentuje świeżo odnowiony odcinek ulicy — oto pytania, którymi żyje codziennie prawdziwy Warszawianin. Warszawianie są dumni ze swego miasta i o wielu problemach urbanistycznych mówią z zapalem i znajomością rzeczy. Oparty o balustradę nad wylotem tunelu Trasy W - Z rozmawiałem ze starym robotnikiem który — jak mi się zwierzył — po skończonej pracy często tu zachodzi. O wszystkich planach dotyczących rozbudowy stolicy, o przeszłości i przyszłości swego miasta mówił z takim zapałem, że słuchałem ze zdumieniem. Może to jest wypadek odosobniony, niemniej jednak znamienity. Potwierdza on zasadę, że miłość rodzinnego miasta obok innych form uzewnętrznienia, powinna znaleźć pełne uzewnętrznienie w dokładnej znajomości jego żywotnych zagadnień. A zagadnień tych Warszawa namiętnie szuka. Dość stwierdzić, że miasto liczące ongiś milion i 300 tysięcy mieszkańców, dziś buduje się niemal zupełnie od nowa.

Problemów urbanistycznych nie brak i trzeba przyznać, że teoretyczne ich rozwiązanie uwzględni wszystkie momenty, począwszy od wyglądu estetycznego miasta, a na wygodzie jego mieszkańców skończywszy. Warszawa przede wszystkim była przed wojną (zwłaszcza przed I wojną światową) zwrócona tyłem do Wisły. Nie mówiąc już o tym, że wielka, szeroka rzeka dla każdego miasta stanowi pierwszorzędną czynnik dekoracyjny stan ten ze względów gospodarczych budził poważne zastrzeżenia. Po wojnie rzucono hasło: „Frontem do Wisły“ i trzeba przyznać, że nie pozostało ono czczym. Świadczy o tym zarówno plan odbudowy i rozbudowy stolicy, jak i już zrealizowane jego części w postaci Trasy W - Z, szczególnie mocno wiążącej Warszawę z królową rzek polskich — Wisłą. Warszawa położona jest na stosunkowo bardzo małej przestrzeni, dusząca się w swych wąskich ruchliwych, pozabawionych przeważnie zieleni ulicach, ma teraz doskonałą szansę uchwylenia w płuca większej ilości powietrza.

Huragan warszawskiego powstania zmiotł z powierzchni stolicy obok cennych, historycznych pamiątek narodowych także wiele dziesiętnasto wiecznej, schyłkowej tandety urbanistycznej, stanowiącą ciemną plamę na jej obliczu. Jest rzeczą oczywistą, że tandety tej nie będzie się wskrzeszać.



Trasa W-Z. Na lewo kościół św. Anny.

Wiele ulic takich np. jak wiecznie ruchliwa Marszałkowska, zostanie poszerzonych, powstanie więcej zieleni, skwerów, których brak w silnym stopniu odczuwało zawsze milionowe miasto. Warszawa nareszcie zachłśnie się przestrzenią.

Tempo odbudowy stolicy oszałamia. Nie ma ulicy, na której by nie wrzała praca. Potężne, reprezentacyjne gmachy w śródmieściu mieszkalne domy na peryferiach rosną jak na przysłowiowych drożdżach. Gdzie spojrzysz — rusztowania, czerwone, świeże mury, grupki pracujących robotników. Na Alei Stalina przez dojrzałą zielen drzew przeświecają ściany odbudowanych i odrestaurowanych pałacików. Trudno rozpoznać co tu jest postawione od fundamentów, a co tylko odtworzone: wszystko nowe, zachwyca oczy świeżością jasnych tynków. Ogrom dokonanych prac w pełni ocenić można idąc Nowym Światem harmonijnie przelewającym się w Krakowskie Przedmieście. Nowy Świat to namacalna plastyczna wizja Warszawy przyszłości. Zabytkowe, niewysokie kamienice odbudowane zostały z jak największą pieczołowitością. Pachnie tu jeszcze wapnem i zaprawą murarską. Mleczne szkła oryginalnych lamp zlewają się z tłem jasnego otynkowania domów. Ulica jest prawdziwym Nowym Światem warszawskim, światem, który jeszcze nie dawno był wizją w mózżach architektów, a dziś cieszy oko pięknem wcielonym (w dwusereg nowiutkich jak dziecinne zabawki na wystawie, kamienic. Idąc nowiutkim Nowym Światem obok nowiutkich sklepów (zwłaszcza kielęgami jest tu moc, co się spodoba każdemu bibliofilowi) mijamy po prawej stylowy, odnowiony Pałac Staszica, siedzibę Warszawskiego Towarzystwa Naukowego stanowiącą zamknięcie panoramy Krakowskiego Przedmieścia od południa. Na lewo mamy kościół św. Krzyża z wieżą otoczoną rusztowaniami. Jesteśmy w sercu Warszawy — na Krakowskim Przedmieściu. Nowiutka, zabytkowa kamienica „Dziekanka”, pomnik Mickiewicza, który niedawno wócił na swe miejsce, odbudowany kościół św. Anny, pałac Potockich dziś siedziba Ministerstwa Kultury (Sztuki) szereg starych kamienic nad tunelem Trasy W-Z, odbudowujący się gmach Prezydium Rady Ministrów (wyliczam nie w kolejności i bynajmniej nie dokładnie) — naprawdę jest to widok piękny. Jeszcze tak niedawno piętrzyły się tu góry Dziś — ruch, tempo, sznur samochodów, autobusów, tłumy prze-

chodniów na tle nowej, pieczołowicie uszytej szaty Warszawy zdają się mówić: „Warszawa rośnie, Warszawa się rozwija”. Jeszcze kawałek drogi i oto jesteśmy na Placu Zamkowym. Stary Zygmunt mocno stojąc na nowej kolumnie przygląda się stolicy. Nieco w dole potężne stosy gruzów ogrodzone płotem. Te gruzы to był kiedyś Zamek Królewski. Zniszczony w 1939 r. ostentacyjnie został wysadzony w powietrze podobnie jak Katedra w r. 1941. Ale już widać tam solidną pracę. Zamek będzie odbudowany, a jego wieża znów stanie się punktem zaczepienia wzroku dla każdego, kto panoramę stolicy zechce oglądać od strony Pragi położonej na naszym brzegu Wisły. Przez plac Zamkowy, później przez ulicę Świętojańską wchodzimy znów w królestwo gruzów. Dobrze znany widok, ale trzeba z radością podreślić: widok, który przestał być już charakterystyczny dla Warszawy, tak jak jej symbolem od dawna już nie jest ponury szkielet Prudentialu czy ruiny Zamku Królewskiego.

Na Rynku Staromiejskim — praca i cisza. Zwiedzają y chodzi powoznicy i w skupieniu: te uliczki i ich mieszkańcy przeszli najstraszliwsze piekło za życia. Trzeba to uszanować. Wzrok przykuwają trzy odbudowane już starodawne kamienice: Baryczków i dwie sąsiednie. Fasady pozostały te same, ale wnętrza połączone ze sobą i unowocześniono. Zamiast wąskich klitek nowoczesne salki. Oto jeden z ciekawych przykładów rozwiązywania problemów wyłaniających się w związku z odbudową zabytków. Staro Miasto będzie odbudowane w całości, zabytkowe kamieniczki znów będą zachwycać zwiedzających subtelnym czarem szesnastego i siedemnastego stulecia. Kontynuując naszą wędrówkę odwiedzamy Plac Teatralny przytłoczony kolumnadą Teatru Wielkiego. Lewa strona teatru jest już odbudowana: jedna część gmachu należy do teraźniejszości, druga jeszcze nasuwa smutne reminiscencje wojenne. Niebawem jednak zniknie ów bolesny kontrast i Teatr Wielki ukaże swe oblicze w całym przepychu dostojnej klasycyzacji.

Przez Plac Zwycięstwa, gdzie pod resztkami kolumnady łączącej kiedyś dwie części monumentalnego Pałacu Saskiego (przed wojną siedziba Sztabu Generalnego) spoczywa Nieznany Żołnierz, wracamy znów na Krakowskie Przedmieście i Plac Zamkowy. Na prawo mamy balustradę. To tu. Pod nami wyłot tunełu słynnej trasy W-Z. Po gładkiej

jezdni mkną dziesiątki tramwajów i setki samochodów, ruch, gwar, tłumy przechodniów, a wszystko to oblane łagodnym, sierpniowym słońcem — widok jedyny w swoim rodzaju i niezapomniany. W dole, po lewej ręce lśniący białością Pałac pod Blachą, ongiś rezydencja ks. Józefa Poniatowskiego, po prawej również w dole — czyste i świeże domy Mariensztatu. Wzrok biegnie daleko, ponad Wisłą i Pragę, po siną, omgloną linię horyzontu. Można tu stać godzinami i cieszyć się widokiem Nowej Warszawy.

Widok ten jest jeszcze piękniejszy, kiedy patrzymy nań od strony kokietującego prostotą i lekkością kształtów mostu śląsko-dąbrowskiego. Kompleks białych kamienic nad płytą tunelu wraz z zabytkową dzwonicą kościoła św. Anny wygląda jak piękna makietka filmowa. Harmonizuje z tym doskonale, wyraźnie odcinająca się od tła sylwetka samego kościoła z umieszczonym na zewnątrz i z daleka widocznym obrazem Matki Boskiej Łagodnie opadającymi schodami Plac Zamkowy łączy się z cichym, pozostającym na marginesie kipiącej rzeki W-Z Mariensztatem. Mariensztat — szeregi dwupiętrowych, przedziwnie lekkich w subtelnych, delikatnych kolorach utrzymanych kamienic, stanowi integralną część panoramy nowowarszawskiej. O zmroku, gdy na rynku mariensztackim mozaikowy zegar małą wskazówką spędzi ze swej barwnej tarczy biały dzień, zapalą się lampy i oto przybyś z prowincji ujrzy oczarowanymi oczami wieczorną szatę stolicy, przetkaną sznurkami iskrzących się świateł Trasy.

Przychodzą tu ludzie, którzy godzinami potrafią stać tu w miejscu i pić wzrokiem przepiękny widok. Przychodzą też inni, zapaleni miłośnicy schodów ruchomych znajdujących się obok Trasy.

Te schody są wielką atrakcją stolicy i cieszą się olbrzymią popularnością. Bodaj to młodość! Eleganckie i supernowoczesne schody przyciągają większe tłumy ludzi niż Muzeum Narodowe przy Alei Sikorskiego ze swoimi bogatymi zbiorami sztuki greckiej i rzymskiej, staroegipskiej i wspaniałą galerią obrazów (ostatnio w muzeum jest czynna arcyciekawa wystawa poświęcona Słowackiemu.) No, ale trudno muzeum istnieje zdawna, a schody od niedawna. Później, mamy nadzieję, frekwencja publiczności w obu przybytkach mniej więcej się wyrówna.

Z tą wizją opuszczam Warszawę.
Tadeusz Halluch.

Warszawa wznosi swoją katedrę

Kiedy śp. Ks. Kardynał Hlond w dniu św. Jana 1947 r. z wysoko ci zwalisk zalegających prezbiterium wmurowywał osobiście puszkę z aktem erekcyjnym w ścianie około Ołtarza, sprawa odbudowy Archikatedry wydawała się zamierzeniem ponad siły i możliwości wyczerpanego okupacją i wojną społeczeństwa katolickiego stolicy.

Inne kościoły warszawskie, nawet położone w zamieszkałych dzielnicach były nadal ruinowane i wymagały pracy i pomocy, a Stare Miasto stanowiło pustynię gruzów. Jedynym dojściem do Katedry był wąski przesmyk odgrzebany poprzez zwaliska dzieł inna Zamkowego i Kanonii. Na Rynek dostawano się przez Świętojańską wspinając się po gruzach na wysokość piętra.

Życia wokół nie było żadnego. Dopiero u św. Anny, u Kapucynów lub Franciszkanów można było Mszy św. wysłuchać a z pozostałych kościołów na Starówce wiało pustką i zniszczeniem.

Roboty rozpoczęto od intensywnego wywożenia gruzu. Najpierw furmanki przebijaly się na Dziekanę, po czym już można było użyć samochodów ciężarowych. W odgruzowaniu pomagali liczni ochotnicy — dawni parafianie i kilka grup młodzieży z poza Warszawy, zwłaszcza energiczne zespoły z Legionowa i Kutna.

Znalezione przy tym moc fragmentów pomników, rzeźb i ołtarzy, które posłużą do zrekonstruowania ich w przyszłości.

Znaleziono także liczne pamiątki z czasów powstania: ubrania, książki, trochę szat liturgicznych, trochę broni powstańczej. (Nasze szczęście co cenniejsze zostało uratowane przez księży jeszcze przed zniszczeniem katedry). Ale znaleziono też ślady niemieckiego barbarzyństwa — resztki czołgów, które Niemcy wprowadzili do katedry i tam wysadzili w powietrze.

Stopniowo z masy gruzów, (około 10 000 m³) wylaniły się zachowane mury. Okazało się, że nie jest tak źle jak przypuszczano. Przede wszystkim prócz zewnętrznych ścian prezbiterium uratowana została w połowie ślana zewnętrzna od Dziekanii, dolna część dzwonnicy i sklepienia ganku prowadzącego do Zamku. Zakryte i kaplica Barczyków zabezpieczone jeszcze w r. 1945 mogły być stosunkowo łatwo odnane do użytku.

Właściwe roboty murarskie rozpoczęto od odbudowy kaplicy Literackiej, zabezpieczając tym sposobem i wzmacniając prezbiterium. Podmurowano podziemie, wykopano sklepienie dolne, dach i kopułę. Pokryto ją blachą miedzianą, wstawiono okno z kamiennym ościeżem. Wybudowano chórki, zainstalowano organy i wewnątrz przyszykować wszystko w surowym stanie tak, aby móc już nabożeństwa odprawiać. Jednocześnie sprowadzano materiały: cement, żelazo, piasek, żwir, czyszczono cegły, stawiano rusztowania do dalszej budowy.

W miarę postępu prac ogólnie zainteresowanie ludności zwiększało się i to nie tylko w stosunku do Katedry, ale i do Starego Miasta. Coraz więcej osób zwiedzało roboty i co raz bardziej żywą stawała się sprawa odprawiania nabożeństw w Świątyni i u udomienia agentów parafii. Pokryto więc dachem i odrestaurowano parę pokoiów w domu kapitulnym, przy ul. Kanonii 6, gdzie pomieszczenie znalazł ks. proboszcz, księżelnia, kancelaria i Caritas. Wyremontowano też z grubsza, kaplicę Barczyków, gdzie wstawiono krąg wejściowy i drzwi, zainstalowano światło, naprawiono i przygotowano ołtarz, aby móc nad nim umieścić z powrotem Cudownego Pana Jezusa, który wyniesiony przez Księży podczas po-

wstania, znalazł tymczasowe schronienie w Prokatedrze.

Uroczysty akt przeniesienia Krucyfiksu na dawne miejsce odbył się w Niedzielę Palmową 1943 r. i od tego Ardiakatedra zaczęła tętnić życiem. Wznosiła wtedy również działalność swej własnej kaplicy, wpawdziej jeszcze niewykończonych, Ardiakonfraternia Literacka.

Jesienią tegoż roku Katedra stała się świadkiem innej podniosłej, lecz smutnej uroczystości. W myśl swej ostatniej woli pochowany w jej murach został śp. Kardynał Hlond. Ciało inicjatora odbudowy spoczęło w prowinizorycznym grobowcu u stóp ołtarza Pana Jezusa Ubiczowanego.

To wszystko nie powstrzymywało robót budowlanych. Jeszcze jesienią 1947 r. ustawiono żelazne więzania dachowe i sygnaturkę nad prezbiterium, wmurowano resztę ścian od Dziekanii, ukończono wywożenie gruzów z n. wy.

Przed wznieśieniem ściany frontowej i bocznej od strony OO Jezuitów, oraz przed rozpoczęciem murowania słupów trzeba było ucieknąć się do stanu wytrzymałości dawnych fundamentów. Okazało się, że były one zbudowane z dużych kamieni polnych, spoiwanych gina, które wytrzymały parę wieków, ale nadwyróżone różnymi przeróbkami i ostatnim wybudem nie mogły stanowić dostatecznego posadowienia dla nowych ścian nowych, fiarów i dachu. Po zasięgnięciu więc opinii najpoważniejszych fachowców postanowiono je rozebrać i zastąpić ławami betonowymi.

Roboty były żmudna, ciężka i kosztowna. Wyciągano wielkie głazy, odwożono je na bok i robiono podkopy w wilgotnej glinie, aby móc na właściwej głębokości murować i betonować.

Rozkopując podłogę nspornano na kilka krypt grobowych ze szczątkami pochowanych dygnitarzy przeważnie XII w. oraz na bardzo liczne szkielety, zakopane wprost pod posadzką. W miarę możliwości szczątki identyfikowano, naprawiano zbitwie trumny i krypty zamurowywano z powrotem. Ładne kości składano do wspólnych trumien. Uporządkowano również rozbite po powstaniu grobowce Książąt Mazowieckich, Sienkiewicza, Narutowicza i innych.

Czynności te utrudniały i opóźniały prace odbudowy, które nie przerywano przez całą zimę, korzystając z łagodnej pogody. Innego rodzaju trudnością był zupełny brak bezpośredniej komunikacji. Wskutek budowania tunelu trasy W—Ł cały dowóz do Katedry musiał

odbywać się okólnie przez ulicę Długą. — Wczesną wiosną 1949 r. przystąpiono do intensywnego murowania ścian, słupów wewnętrznych i dzwonnicy, które wyrosły na pełną wysokość w ciągu paru miesięcy.

Do licowania zewnętrznego używano cegły gotyckiej oryginalnej, wydobywanej z gruzów lub też nowej o odpowiednim wymiarze, wypalanej specjalnie na Pomorzu.

Latem i wczesną jesienią odrobiono blachę miedzianą wieżyczkę nad prezbiterium, osadzono krzyże i sygnaturki, pokryto dachówką hollenderską dzwonnice od Świętojańskiej, a tak zwaną klasztorną — prebiterium. Przeciągało się to dość długo ze względu na opóźnienie w dostawie tej dachówki, obstalowanej według wzoru na Dolnym Śląsku.

Wreszcie późną jesienią wykończono kopułę żelbetową nad kaplicą Ubiczowanego i wykonano piękne sklepienia gwiaździste nad prezbiterium, stosując zworniki z piaskowca i żebra z profilowanej cegły o gotyckich wymiarach. Tym sposobem zakończono stan surowy całej prezbiterialnej części Katedry.

Wygląd Katedry św. Jana już dziś wyraźnie sprecyzowany różni się znacznie od tego, który pamiętamy przed wojną. Po skończeniu budowy różnić się będzie jeszcze bardziej. Trzeba wziąć bowiem pod uwagę, że Świątynia kształtowała się przez szereg wieków, jej ostatni wygląd był rezultatem narastania poszczególnych epok i stylów. Linijki i dekoracja wewnętrzna, krużgady, szczyty i kształt dachu — to wszystko przeróbki z połowy ubiegłego stulecia. Wyprawa zewnętrzna i białe kafelki frontu były jeszcze świeższe. Obecnie przywraca się Świątyni jej kształty z XV wieku, kiedy ówczesna Fara nie miała ani wieży ani krużgady, mury były w surowej cegle, słupy wewnętrzne równo ustawione i przesklepione gładzistoz ceglanymi, widocznymi żebrawami, a całość przykryta wielkim i słomym dachem, charakterystycznym dla średnio-wiecznego budownictwa polskiego. Obecny szczyt od Świętojańskiej będzie trójkątny z podziałem na wydłużone prostokąty zwieńczone figurami i wyłożone kamieniami. Jak wyglądał kiedyś, tego napewno nie wiemy, miała swego czasu Katedra także wieżę, dostawioną w szczycie w XVI wieku, która jeszcze runęła podczas huraganu, zwalając dachy i sklepienie i której już potem nie odbudowano. Zostały po niej tylko dodatkowe filary, przeobione okna i sklepienia nawy, ustawione mimosrodkowo do zewnętrznych przypór. Za ich decyzją zapadła co do formy obecnej odbudowy, władze kościelne zasięgały opinii najwybitniejszych w kraju architektów, konserwatorów i historyków sztuki.

Jeśli chodzi o zagadnienia konstrukcyjne, to jedno zostało już rozwiązane przez zastosowanie ławy żelbetowej pod fundamenty, drugie polega na sposobie zbudowania dachu. Będzie on wykonany również w żelazobetonie. Główne więzary wspierać się będą nie na ścianach zewnętrznych, lecz na podciągach przerzuconych pomiędzy słupami ponad sklepieniem. Z wierzchu wykonana będzie cienka płyta na której dopiero ułożona zostanie dachówka. Sklepienia gwiaździste, zamknięte wewnątrz, będą od tej konstrukcji niezależne. Zapewni to dachowi największą trwałość, a także i bezpieczeństwo od ognia. Fundusze na odbudowę Katedry płyną przede wszystkim z ofiar składanych z całej Polski bezpośrednio do Rady Prymasowskiej Odbudowy Kościołów w Warszawie, następnie zadeklarowanych stałych składkach duchowieństwa Archidiecezji Warszawskiej, oraz różnych imprez urządzanych przez Kade.

Za błękit i słońce

*Jak nie miłować Ciebie za to
słońce, co świeci tak bogato,
i wieczne błogosławi ziemie
daną nam Panie przez Ciebie?*

*Jak nie wołać rozmodloną ciszą
w czas lata, kiedy się kotyszą
pszenne w polu kłosy,
i macierzanki pachną w niebiosy?*

*Nie dziękować za dni pełne łaski
promienne ócz Twoich blaskiem —
za słodycz młodych uł
w rozświeconym pyle.*

*Niech srebrzą się oczy łzami
radości, za brzeg błękitny nad nami
dłonią Twą rozwieszony w dobroci,
za słońce co wiecznie nam świeci.*

Maria Dzierżyńska.

Dotychczas odbudowa Katedry kosztuje ogółem 70 milionów złotych.

Suma ta może się wydawać wielka, gdyby nie brać pod uwagę ogromu zadań, rozmiarów budynku, i niesłychanie trudnych i odpowiedzialnych robót, przy których zatrudnieni mogą być tylko najlepsi fachowcy i użyte specjalne materiały, a także i szybkie tempo robót, to bowiem co wznosiły przez wieki całe pokolenia, odrabiamy dziś w parę lat.

Idąc za przykładem Katedry, ożyło Stare Miasto. Nabożeństwo odprawia się już teraz u Panny Marii, u św. Jacka. Na Rynku miesz-

kają ludzie i pracują urzędy. Zwały gruzów zniknęły z uliczek i zaułków. Odbudowuje się kościoły św. Marcina św. Jacka, św. Ducha, a ostatnio r. świąt poczynają mury najbliższego sąsiada Katedry, kościoła Matki Boskiej Łaskawej OO. Jezuitów, który stanowił od wieków jej dopełnienie i o. dobę.

Dzielo rozpoczęte przez zmarłego Kardynała, prowadzone obecnie przez Prymasa Polski, wznosi się w naszych oczach z trudu i wysiłku całej katolickiej Polski.

M. S.

„Wiadomości Archidiecezjalne W arsz.”

Warszawskie kościoły

Zawierucha wojenna, która tak tragiczne piętno wycisnęła na obliczu stolicy, nie szczędziła i warszawskich świątyń. Z jednego z najstarszych zabytków Warszawy — katedry św. Jana pozostał tylko stos gruzów. Zniszczony kościół św. Aleksandra i wiele innych, uszkodzone poważnie kościoły: Zbawiciela, św. Anny św. Krzyża, dziesiątki mniejszych równie zabytkowych, po których został tylko nagie, wypalone mury — oto bolesna rzeczywistość wdrażająca się w pamięć tych wszystkich, którzy oglądali Warszawę w 1945. Plan odbudowy Warszawy objął również odbudowę zniszczonych świątyń. Przy wydanej pomocy Rządu i ofiarnego społeczeństwa dźwigają się one z gruzów, restaurują swe wnętrza, przyoblekają się w szaty dawnej świetności i monumentalnej powagi. Przypatrzmy się kilku warszawskim kościołom, historia bowiem jaką przeszły, to za razem historia całej Polski.

Zacznijmy od katedry św. Jana. Już w XII w. na jej miejscu istniała drewniana kaplica, w końcu zaś XII w. zbudowano dzisiejsze prezbiterium murywane. Do dzisiejszych rozmiarów rozbudowana została w stylu wczesnego gotyku przez ks. Janusza Mazowieckiego. Przebudowana w XVII w. otrzymała fasadę barokową a w r. 1838 polski budowniczy Idzkowski odnawiając katedrę wziął za wzór kościół angielski w Ely szczególnie kształt wież opatrzonych fortelnymi blankami. Wtedy to kościół otrzymał fasadę w gotyku angielskim, którą dobrze pamiętamy z przedwojennych zdjęć. Wojna szczególnie okrutnie obeszła się z katedrą pełną cennych zabytków sztuki. Zniszczoną w 1939 r. świątynię wysadzili ostatecznie Niemcy w powietrze w 1944 r. Obecnie katedra odbudowuje się w szybkim tempie, jednak nie w stylu angielskiego gotyku, lecz wczesnego. Dodać trzeba, że w krypcie pod zakrystią znajdują się grobowce pierwszego prezydenta Polski Gabriela Narutowicza i największego naszego pisarza Henryka Sienkiewicza, którego zwłoka-

ki przywieziono do kraju w r. 1924. Znalazł tam miejsce wiecznego spoczynku kardynał Hlond. Katedra św. Jana wciśnięta przed wojną w głąb wąskiej uliczki i zasłonięta poważnie gęsto zabudowanymi domami, na skutek ich zupełnego zniszczenia będzie mogła po ukończeniu odbudowy ukazać stolicy swe oblicze w całej gotyckiej okazałości. Wiele uratowanych fragmentów architektonicznych i cennych motywów ornamentyki wróci na swe dawne miejsce i uświetni jej wygląd zewnętrzny i wewnętrzny.

Za katedrą przy ul. Świętojańskiej znajduje się barokowy kościół OO. Jezuitów pod wezwaniem Panny Marii Miłosiernej. Jest on również w stanie odbudowy.

Przecinając Plac Zamkowy zdążamy do akademickiego kościoła św. Anny. Zwróćmy tyłem do Wisły króluje nad Mariensztatem pięknym swej barokowej sylwety. Zbudowany został przez Bernardynów z fundacji Anny ks. Mazowieckiej w połowie XV w. Nadano mu styl gotycki Spalony w czasie wojen szwedzkich odbudowany w stylu barokowym. W 1787 dobudowano klasycystyczną elewację. Został dwukrotnie zniszczony: raz w 1939 r. drugi raz w 1944. Poważne uszkodzenia spowodował również huragan, który przeszedł nad Warszawą w 1946 r. W kościele zawaliło się wtedy sklepienie nad chórem. W związku z budową tunelu Trasy W-Z świątyni groziło poważne niebezpieczeństwo zawalenia się, na szczęście w porę zażegnane. Kościół św. Anny wraz z zabytkową dzwonnica to najważniejszy punkt przepięknej panoramy Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego, oglądanej od strony mostu ślasko-dąbrowskiego. Toteż słusznie pisano w „Tygodniku Powszechnym”, że „dopóki nie zostanie zrekonstruowany zamek królewski w całym swym dekoratywnym przepychu, dopóty możemy być pewni, że kościół św. Anny na tle historycznych kamienieć sąsiadujących z kolumną Zygmuntową, będzie jednym z tych skrótów plasty-

cznych, przy pomocy jakich charakteryzuje się wielkie stolice w syntetycznych ujęciach wizualnych”. Odbudowa kościoła nie jest jeszcze definitywnie zakończona. Roboty trwają zarówno wewnątrz jak i zewnątrz. Idąc Krakowskim przedmieściem w stronę Nowego Świata widzimy po prawej odbudowujący się kościół św. Krzyża. Budwę tego kościoła zaczęto w r. 1680 za Jana III Sobieskiego, a ukończono za Augusta III. Mury w stylu wczesnego włoskiego baroku mogą pomieścić 5 tys. ludzi. W 1939 r. świątynia była zbombardowana, ogółem oceniono po wojnie zniszczenia na 70 %. Wnętrze kościoła, całkowicie odrestaurowane oprócz pięknych bogato ozdobionych ołtarzy barokowych posiada szereg tablic pamiątkowych ku czci zasłużonych Polaków (między innymi Bolesława Prusa).

U schyłku schodów, które prowadzą do kościoła znajduje się okazały i przepiękny posąg Chrystusa dźwigającego krzyż. Twórcą pomnika jest Piórszyński (rok 1858).

Na placu Trzech Krzyży (dawniej zaczynała się tu stacja drogi krzyżowej — stąd nazwa) wznosi się renesansowy kościół św. Aleksandra. Straszliwie zniszczony mozołnie podnosi się z gruzów. Budowę jego ukończono w r. 1826 wg. planów Aignera, a rozszerzono go u schyłku ubiegłego stulecia. Postęp prac nad odbudową jest bardzo poważny. Zdaleka już widać kopulasty odbudowany dach wsparty na świeżych obramowaniach licznymi rusztowaniami murach. Właściwy kościół mieści się obecnie pod posadzką dawnego. Tu odbywają się nabożeństwa, tu wędrują ludzie na krótką, krzepiącą morderliwą. Niedługo już a kościół św. Aleksandra znów stanie się architektonicznym królem placu Trzech Krzyży.

Wędrowkę po kilku warszawskich kościołach zakończymy na Placu Zbawiciela. Po jego południowej stronie wznosi się piękny kościół Zbawiciela zbudowany w r. 1901 w stylu neorenesansowym. Kościół będący prawdziwą ozdobą placu również uszkodzony, przywracany jest obecnie do dawnego stanu.

Świątynie warszawskie ucierpiały w czasie wojny jak żadne inne. Wraz z wszystkimi gmachami ponosiły one konsekwencje tragicznego powstania. Ale też jak żadne inne znalazły tyle ofiarnych serc w całej Polsce, że nie długo już zobaczymy ich mury w całej krasie przeróżnych stylów odbudowane i odnowione.

Zbigniew Redzisz

Górka Duchowna i świątynia Matki Boskiej Pocieszenia

¶ Pomiędzy rozlicznymi tytułami jakimi uczcił kościół św. Najświętszą Maryję Pannę jest i ten, że ją w litanii loretańskiej nazywa „Pocieszycielką strapiionych”. W niedzielę po św. Augustynie czci ją też osobnym świętem „Matki Boskiej Pocieszenia”. Górka Duchowna, dawniej Lubińska zwana, leżąca pomiędzy Kościanem, Śmigłem i Leszmem Wlkp., tuż przy kolei żelaznej,



Obraz Matki Boskiej Pocieszenia w Górcie Duchownej

należała od połowy 13 wieku do lubińskiego klasztoru OO, Benedyktynów. Wspomina o tym dokument księcia poznańskiego a potem króla polskiego Przemysława II. z roku 1277. Kościół został tutaj wybudowany na początku 14 wieku. Dane historyczne mówią, że obraz Matki Boskiej Pocieszenia OO. Benedyktyni, z dalekich stron już jako łaskami słynący, sprowadzili do Polski z sąsiednich Czech za czasów prześladowania Hussytów. Ku pociesze ciężko podówczas morowym powietrzem utrapionej okolicy został umieszczony obraz pt. Matki Boskiej Pocieszenia.

W tym to czasie z powodu morowego powietrza okoliczne miasteczka jak; Osieczna, Leszno, Zaborowo, Świecichowa, Śmigiel, Kościan, Krzywiń prawie wyludnione zostały. Odtąd świątynia górecka jest licznie nawiedzana. Stale gromadzą się tutaj wierni wszystkich stanów by u stóp Matki Boskiej Pocieszenia błagać o ratunek w szeregającej się zaradzie, prosić o pomoc i zmiłowanie Boże w dniach smutku i niedoli.

To też Matka Boska Pocieszenia w małym kościółku góreckim hojnie darzy nieustannie wiernych łaskami; świadczą o tym liczne drogocenne wota składane w świątyni, ciągle rozszerzanie kościoła i coraz liczniej przybywający pątnicy z okolicy i z najdalszych zakątków kraju.

W roku 1902 przystąpiono do budowy dużej wspaniałej wieży. W roku następnym na Zielone Świątki zatknięty został na jej szczycie złocisty krzyż. Piękna ta wieża całkowicie wykończona została we wilię wielkiego odpustu 1903 r.

Pomników świątynia górecka nie ma żadnych. Jest w nim tylko kilka drogich sercu wielkopolanina pamiątek, których wróg nie zabrał i nie zniszczył. Pozostała więc tablica poświęcona pamięci wielkiego polskiego misjonarza śp. ks. Karola Antoniewicza, który w r. 1851 w jednym z swych kazań tu właśnie te serdeczne i pamiętne słowa powiedział, że połowę nieba polskie chłopcy zapełnią. Dalej jest tablica ku uczczeniu pamięci ks. kanonika Jana Koźmiana, kapłana wielkich cnót i zalet społecznych. Jest też tablica, której napis głosi, że śp. Arcybiskup gnieźnieński i poznański, Prymas Polski ks. Mieczysław Ledóchowski przybył 18 czerwca r. 1871 do Górki Duchownej, aby tu z duchowieństwem i ludem obchodzić uroczyste pierwsze od czasów św. Piotra srebrny jubileusz papieżstwa Ojca św. Piusa IX i tu na intencję Ojca św. mszę św. przed obrazem Matki Boskiej Pocieszenia odprawił. Poza tym pozostało kilka uchronionych pamiątkowych wot. Drogocenne pamiątki tutejszego kościoła jak: kosztowny biały ornat, jaki posiadał śp. ks. kardynał Ledóchowski, który z czci dla Matki Boskiej góreckiej kościółowi testamentem przekazał w roku 1902, oraz droga złocista mitra śp. Arcybiskupa Leona Przyłuskiego, który przed śmiercią swoją kościółowi góreckiemu ofiarował, po wojnie już nie wrócił.

Po oswobodzeniu Ziemi Zachodnich dużo w Górcie Duchownej zrobiono.

Włodarz parafii góreckiej i bojanowskiej, ks. prob. J. H. Górecki przy pomocy i wielkiej ofiarności

parafian, a zwłaszcza pątników gorliwie dba o przybytek maryjny.

Kościół i kaplica otrzymały nową szatę godową. Zostały pięknie odmalowane. Złożono światło elektryczne. Kaplica została poszerzona a u jej stropu widnieje wśród kwiatów napis podtrzymywany przez aniołów „Różami uwieńczmy Jej skroń”. Sam obraz Matki Boskiej Pocieszenia został odnowiony. Na ołtarzu została złożona pozłacana korona Matce Bożej góreckiej, ufundowana przez parafię leszczyńską. Również wystawiona została przez parafię śmigielską piękna, artystyczna figura Niepokalanej u wylotu wsi. W tym roku kościółowi góreckiemu ofiarowano nowy baldachim, który po raz pierwszy użyty został podczas Zielonoświątecznych uroczystości odpustowych.



Duszpasterz Górki Duchownej zawieszca obraz MB. Pocieszenia na ołtarzu polowym w dniu rozpoczęcia uroczystości

Odpusty Matki Boskiej Pocieszenia w Górcie Duchownej mają już swoją piękną historię i urobioną tradycję. Szczególniej jednak wymienić wypada zeszłoroczny wielki odpust wrześnieowy z uroczystym przeniesieniem obrazu Matki Boskiej Pocieszenia do odnowionej kaplicy.

(jj)

Wydawca: Administracja Apostolska. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.
Telefon 739 — P. K. O. V-854/113 Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł.
Ogłoszenia w cenie 120 zł za jeden mm wysokości w jednej szpalcie.
Tłoczono w Poznańskich Zakładach Graficznych — Oddział Kościan — 1078 — 9. 50.
K-1 — 12260 — 27. 9. 50. Druk ukończono 30. 9. 50.